Rok XVI. — Nr. 9. Wrzesień 1908.



Św. Piotrze Klawerze, Apostole murzynów, módl się za nich i za nasze dzieło!

Echo z Afryki.

Błogosławione przez Ich Świątobliwości Leona XIII i Piusa X.

Administracya: Kraków, ul. Św. Anny, 4.

Prenumerata roczna: K. 1·50; M. 1·20; R. 1.

W pierwszy wtorek każdego miesiąca odprawia się za żyjących i zmarłych prenumeratorów „Echa“ przez jednego z XX. Misyonarzy w Afryce Msza św. cicha.

JESZCZE WIEŚCI O GŁODZIE.

X. Biskup Vogt pisze nam dnia 26 marca 1908 r.:

„Dziś muszę Wam mówić o głodzie, srożącym się między nami. Zbyt długa posucha spowodowała najpierw wielką drożyznę, a wreszcie głód, który panuje faktycznie w wielu okolicach od dwóch miesięcy. Nasze stacye Mandera i Bagamoyo są najciężej doświadczone, ale i misye Kunujno, Matombo, Mgita i Maragoro, dotyka wiele cierpień.

Około 300 chrześcijan opuściło Manderę, by szukać gdzieindziej żywności; 500 pozostałych znajduje się po większej części na utrzymaniu misyi.

Tu, w Bagamoyo, większość naszych 500 chrześcijan pozostaje na naszem utrzymaniu. Jak wiecie, są to przeważnie dawni wykupieni niewolnicy i tylko bardzo mała liczba z pośród nich zdołała osiągnąć jaki taki dobrobyt, jeżeli wogóle można mówić o dobrobycie pomiędzy murzynami.

Do chrześcijan naszych przyłączyło się około 220 chrześcijan z Mandery. Wczoraj przyszło jeszcze dziesięciu chłopców, istne uosobienie głodu!

Przychodzą oni nibyto, aby pracować tutaj i zarabiać na życie, ale są tak osłabieni, że praca ich wygląda na żart. Przybyło również przeszło stu pogan dorosłych, gnanych głodem, których teraz nauczamy.

Co do tych, głód był dla nich godziną łaski! Ufajmy, że wielu z pomiędzy nich wytrwa i że inni poganie pójdą za ich przykładem. Nasze środki nie pozwalają nam wspomagać innych biedaków — i tak zmuszony jestem wydawać ponad budżet, licząc na zaliczki ze strony naszych dobroczyńców.

Musimy w istocie wspierać przeszło 800 głodnych. Aby uniknąć zbytniego ich napływu, utrzymujemy darmo tylko ludzi zupełnie wycieńczonych lub chorych, od innych domagamy się trochę pracy: noszą piasek w małych koszyczkach, wypleniają chwasty i ciernie z pól i t. p. Jest to podwójna korzyść: zatrudnia się ludzi i przyzwyczaja się ich powoli do pracy, a zarazem przynosi się małą pomoc misyi. Rozdaliśmy przeszło 350 worków ryżu i co niedziela musimy wydawać kilkaset marek tym biedakom. Bardzo to mało na tylu ludzi! A wielu z nich nie jada codzień.

Biedne dzieci, które przyszły wczoraj z Mandera, są to istne szkielety! A kiedy patrzę na wychudłe matki z niemowlętami noszącemi, bardzo powoli co prawda, koszyczkami piasek, nie mogę się powstrzymać od wzruszenia! Chciałoby się dawać i dawać wciąż, ale to jest niemożliwe.

Pierwsze deszcze spadły właśnie, a przed dwoma tygodniami padał rzęsisty deszcz w Mandera. To dość, aby rozpocząć zasiewy, ale jeżeli na tem się skończy, wszystko wyschnie w kilka tygodni! W każdym razie w wielu okolicach niema ani mowy o zbiorach przed dwoma lub trzema miesiącami.“

X. Biskup Gerboin pisze dnia 23 lutego:

„Nasi murzyni nawiedzeni są obecnie ciężką próbą. Ani jeden deszcz nie spadł od dwóch blizko miesięcy, i zbiory, zasiane w czasie pierwszych deszczy listopadowych, zapowiadające się bardzo pięknie, po większej części wyschły na pniu. Kukurydza zwłaszcza zginęła zupełnie. To też wszyscy spodziewają się głodu, żywność jest bajecznej ceny i zaledwie można jej dostać, bo ci, którzy posiadają jeszcze jakie zapasy, wolą je schować z obawy, że nic innego nie będą mieli w tym roku.

Jest to klęska powszechna, jak to widzę z listów dochodzących mię z naszych różnych misyj. Pozawczoraj nadciągnęła dość gwałtowna burza, a na drugi dzień padał deszcz przez kilka godzin. Wszyscy spieszą z orką, by zasadzić pataty, jedyny owoc, który może jeszcze dojrzeć, jeżeli miesiące marzec i kwiecień będą dżdżyste, jak zazwyczaj.

O. Van der Burgt pisał mi z Marienseen dnia 2 lutego, z osady położonej na północo-wschodzie Urmidi, że u nich także wyschło wszystko. Następnie wszakże donoszą mi z Muyene w Urundi środkowem o deszczu. Trzeba ufać, że Warundowie zdołają zasiać jeszcze dosyć fasoli, by przeżyć jakoś ten rok, jest to bowiem główna podstawa ich pożywienia. Ale prawie zawsze głód panuje w tym kraju.

Wasze jałmużny dużo przyczyniły się do wspomożenia głodnych w latach 1906 — 1907 w Muyare, a wielu z nich mogło otrzymać Chrzest św.

Pan Bóg doświadcza nas tak często, ale okazuje nam także, jak wielkiem jest miłosierdzie dusz chrześcijańskich. Oby Pan nasz raczył nagrodzić wszystkich naszych dobroczyńców, a w szczególności wszystkich członków Sodalicyi św. Piotra Klawera! W tym celu odprawiłem na ich intencyę Mszę św. dnia 31 stycznia roku zeszłego."

Korespondencya misyjna.

Początki misyi w Gwinei francuskiej.

Czytelnicy nasi powitają zapewne chętnie list W. O. Lecler, ze Zgromadzenia Ojców Ducha Świętego, w którym podaje wiadomości o okolicy dotychczas nieznanej. Przemyślne miłosierdzie misyonarzy umiało odnieść tryumf nad obojętnością religijną krajowców i już po pięciu latach istnienia, liczy misya sporo żarliwych chrześcijan.

Było to w r. 1902. Powróciwszy do Francyi po trzyletnim pobycie w Conakry, wysłany zostałem ponownie przez X. Biskupa, naszego przełożonego generalnego i przez naszego W. Prefekta apostolskiego dla założenia misyi w głębi Gwinei, w prowincyi Kissi, na granicy Liberyi.

Wyjechałem z Francyi w listopadzie tegoż roku, a gdy przybyłem do Conakry, naznaczono mię na pomocnika nader zacnego i świątobliwego misyonarza. Aby dotrzeć do miejsca przeznaczenia, musieliśmy przejść 700 kilometrów pieszo. Skromne nasze zasoby, mające służyć zarówno do naszego osobistego utrzymania, jak i dla zainstalowania się na misyi, powierzone zostały dobrej woli 33 towarzyszących nam tragarzy.

Podróż mieliśmy szczęśliwą. Silni łaską Bożą, pokrzepiani codzień szczęściem odprawiania św. Ofiary, szliśmy radośni i weseli ku nieznanej przyszłości. Za przybyciem na miejsce, mieliśmy wybrać plac pod naszą osadę wpośród lasów i bujnych traw. Byliśmy zmuszeni wdrapywać się na drzewa, by znaleźć miejsce odpowiednie do osiedlenia. Z wysokości naszego obserwatoryum widzieliśmy kraj wielce zalesiony. Powiedziano nam, że we wszystkich tych zbitych gęstwiach ciemnej zieleni, znajdują się wioski rozrzucone tu i owdzie. Mogliśmy sami odkryć ich ze dwadzieścia, w promieniu około 15 kilometrów. Po pertraktacyach z wodzami dwóch wsi, do których należało terytoryum, postanowiliśmy rozbić tam nasz namiot. Wodzowie byli zadowoleni, że pozostajemy wpośród nich i ofiarowali się zaraz wraz ze swymi sąsiadami do pomocy przy pierwszych robotach, cośmy też chętnie przyjęli.

Niestety, biedne nasze chatki zaczynały się już wznosić, kiedy po trzydziestu dniach obecności naszej w tym kraju, Pan Bóg raczył nas doświadczyć: wybrał sobie ofiarę i powołał do siebie mego towarzysza podróży, mojego ukochanego przełożonego. Jedna ze strasznych

febr tej upalnej strefy, zabrała go nam w ciągu trzech dni. Ofiarował on wspaniałomyślnie swoje życie za zbawienie naszych biednych dzikich i za powodzenie misyi. Nie mógł jeszcze wyobrazić sobie, czem stanie się ona w przyszłości, czas bowiem, jaki spędziliśmy razem, był tak krótki!

Pozostałem z innym Ojcem, który uczył się języka krajowego i z jednym Bratem, któremu zlecono zakładanie plantacyj.

Krajowcy byli bardzo wzruszeni śmiercią naszego Brata zakonnego i podwoili gorliwości, by przyśpieszyć budowę naszych prostych mieszkań. Były to liche chatki, zaledwie zdolne ochronić nas przed zbliżającą się zimą. Wypadło na później pozostawić myśl o zabudowaniach bardziej odpowiednich.

Mając już gotowe mieszkanie, mogliśmy nawiązać częstsze stosunki z rozmaitemi wsiami okolicznemi. Zwiedziliśmy ich wielką liczbę, ale wkrótce przekonaliśmy się, że zadowolenie, jakie ludność wiosek okazywała na nasz widok, nie przyczyni się wcale do ziszczenia naszych nadziei apostolskich. Poczciwi ci dzicy wyobrazili sobie, żeśmy przyszli do nich tylko po to, aby im dawać ładne podarki i pytali nas butnie, ile będziemy im płacili za to, że oni, lub ich dzieci, będą uczęszczać na katechizm.

Pierwszy rok minął w ten sposób. Odwiedzano się, nawiązywano stosunki oczekując, aż dzicy lepiej usposobieni będą. Nie mogliśmy uzyskać regularnego uczęszczania na katechizm: co najwyżej ze dwudziestu słuchaczy przybywało w niedzielę na misyę, a przytem mieli minę, jak gdyby zgoła nie brali poważnie udzielanej im nauki.

W początkach drugiego roku rozpoczęliśmy dalszą budowę. Stanęła kaplica, licząca 22 m. długości, 7 m. szerokości, co nam pozwoliło objąć ostatecznie misyę w posiadanie. Budowaliśmy sami, nie było robotnika w kraju. Konsekracya kaplicy odbyła się w sam dzień Wielkanocy 1904 r. Na piękne to święto, niestety, mieliśmy najwyżej ze dwudziestu naszych katechumenów. Wprawdzie uroczystość uświetnioną została przez pierwszą Komunię św. dwóch młodych ludzi, pochodzących z Wyższego Sudanu i towarzyszących nam od czasu naszego przybycia, ale nikt w tym kraju nie uważał za stosowne przerywać sobie w czemkolwiek dla takiego święta.

Trzeba więc było czekać jeszcze — łaska nie spływała. Ale jakże nam było ciężko słyszeć ich mówiących, że wolą się smażyć w piekle wraz ze swymi przodkami, aniżeli się nawrócić! Mieli jednak pretensyę, abyśmy pozostawali wpośród nich, pomimo ich obojętności. Zagroziliśmy im, że jeżeli nie zechcą nas słuchać, pójdziemy gdzieindziej. Ale na wszystko byli głusi.

Wtedy to przyszło nam na myśl spróbować pielęgnować ich chorych. Zauważyliśmy, że wielu tych biedaków cierpi na zaraźliwe rany i że brak wszelkich starań w licznych chorobach sprawiał pomiędzy nimi straszliwe spustoszenia. Mała dziewczynka, licząca rok jeden i prawie już konająca, dała nam sposobność wypróbowania naszego zamiaru.

W jednej z naszych wycieczek znaleźliśmy to dziecko na kolanach matki. Prosiliśmy, aby pozwoliła nam je ochrzcić, obiecując, że następnie postaramy się wyleczyć je z zapalenia oskrzeli, na które było chore. Matka zgodziła się, ochrzciliśmy więc dziecko, nadając mu imię Amąty i udało nam się szczęśliwie z pomocą Bożą wyprowadzić ją z choroby, z której, zdaniem wszystkich ludzi w okolicy, nie powinna była wyjść.

Uleczenie to zadziwiło ludność, a nam dało pociechę posiadania przynajmniej jednej małej chrześcijanki w tych stronach. W kilka miesięcy później drugie niemowlę, jeszcze mniejsze, dotknięte tem samem cierpieniem, ochrzczone zostało imieniem Janiny i również uratowane. To nam wreszcie zyskało ufność zupełną. Ze wszech stron napływali chorzy do pielęgnowania. Epidemia ospy, która wybuchła we wsi najbliższej misyi, dała nam wiele pracy, ale przy pomocy Bożej mieliśmy do opłakiwania tylko dwóch zmarłych na 42 chorych. Wówczas nastąpiło ogólne poruszenie, musieliśmy znajdować lekarstwa na wszystkie cierpienia. Ci, którzy mogli jeszcze chodzić, przychodzili do misyi o którejbądź porze, ci, którzy mogli być na nią przeniesieni, pozostawali wśród nas w specyalnych, przeznaczonych po temu chatkach, aż do zupełnego wyzdrowienia. Wreszcie szliśmy sami z naszemi lekarstwami na wieś, aby opatrywać tych, którzy nie mogli przyjść, ani nie miał ich kto zanieść.

Gotowość, z jaką pielęgnowaliśmy chorych bezpłatnie i o każdej porze dnia, zyskała nam powszechny szacunek ludności. Poznała ona wreszcie prawdziwy cel misyi: wspomaganie nędz cielesnych i duchowych, otaczanie litosną pieczą nieszczęśliwych, aby módz ich doprowadzić później do wiecznego szczęścia. Nie trzeba było więcej, aby prysły wszystkie trudności, jakieśmy spotykali na początku. Obawa, że możemy odjechać i że nie będzie nikogo, ktoby pielęgnował ich chorych, nasunęła im myśl powierzenia nam młodzieży i dzieci na naukę. Była to wkrótce sprawa ułożona.

Mogliśmy więc rozpocząć wreszcie pracę naszą poważnie, czegośmy nie mogli uczynić dotąd. Aż po koniec 1904 r. mieliśmy zaledwie dwadzieścioro dzieci uczęszczających mniej lub więcej regularnie na Mszę św. i na katechizm niedzielny. W r. 1905 uzyskaliśmy od rodziców, że dzieci i młodzież ze wsi przychodzić będzie trzy lub cztery razy tygodniowo.

Przy końcu roku liczyliśmy 70-ciu katechumenów, pobierających naukę zupełnie na seryo i uczęszczających wiernie na katechizm. — Z początkiem r. 1906 osiągnęliśmy liczbę jeszcze wyższą, odwołaliśmy się do dobrej woli większej ilości wsi i dwanaście wsi dostarczyło nam 220 katechumenów. Na Wielkanoc i Zielone Święta ochrzciliśmy tych, którzy byli wierni od samego początku i tym sposobem mieliśmy już 32 chrześcijan.

Obecnie osiągnęliśmy liczbę 480 wiernych, wspólnie katechumenów i chrześcijan, a urzędowanie nasze obejmuje 22 wsi w promieniu 15 kilometrów wokoło.

W Wielką Sobotę bieżącego roku udzieliliśmy 41 chrztów. Nazajutrz, w dzień Wielkanocy, 14 ochrzczonych z roku poprzedniego przyjmowało po raz pierwszy Jezusa w gorącej i żarliwej Komunii św. Wreszcie w sobotę, w wilię Zielonych Świątek, jeszcze ochrzciliśmy 23-ch dorosłych. Liczymy oprócz tego w bieżącym roku 42 chrzty *in articulo mortis.*

Cyfry te będą dla Pani świadectwem rozwoju wiary w tych stronach, nas zaś pocieszają i zarazem każą zapominać o wielu przebytych trudach.

Aż do Bożego Narodzenia roku zeszłego nie śmieliśmy, nie mając zakonnic, zajmować się nauczaniem dziewcząt. Wiedzieliśmy zresztą, że był tu przesąd do zwalczenia: kobieta uważaną jest pospolicie przez ludność tutejszą raczej za niewolnicę i niezdolną do czynu rozumnego, a przez to samo niezdolną uczyć się i nauczyć czegokolwiek. Pragnąc jednak założyć w ciągu kilku lat rodziny chrześcijańskie, postanowiliśmy spróbować nauczać młode dziewczęta osobno, po wsiach, przy pomocy dwóch lub trzech kobiet wiekowych, zażywających dobrej sławy. Zwalczaliśmy przesąd wszelkimi sposobami i zachęcaliśmy ludność, aby uczyniła rzetelną próbę. Zaczęliśmy najpierw naszą naukę w trzech wsiach z 56-ciu dziewczynkami, powyżej 10-ciu lat i wyniki otrzymane dowiodły tym poczciwym ludziom, że mniemanie ich było mylne. Dziewczynki same prosiły, aby im pozwolono uczyć się dalej, uczęszczają sumiennie na katechizm w dniach im wyznaczonych. We wszystkich innych wsiach proszą nas, abyśmy rozpoczęli ten sam rodzaj nauczania.

Takie są rezultaty pracy. Świadczą one o działaniu Bożem wśród tych ludów i o pragnieniu Bożem posiadania tych dusz.

W. O. Przełożony był tak dobry, że polecił mi pielęgnowanie chorych. Stwierdziłem w r. 1906 i 1907, że ma się przeciętnie 40 chorych dziennie do opatrzenia. Możemy względem nich pełnić również nasze urzędowanie duchowne. Oznaczyliśmy stałą godzinę codzień, w której powinni się zjawić. Zanim zabierzemy się do opatrunków i rozdawania lekarstw, podajemy im najpierw lekarstwo dla duszy. A mianowicie: tłómaczymy tym poczciwcom, co to jest Bóg, dlaczego nas stworzył i jak można osiągnąć niebo nawet przez cierpienie. Wszyscy słuchają z wielką uwagą i nie okazują wcale oporu. Jeżeli pomiędzy najstarszymi są tacy, którym położenie, albo stanowisko nie pozwala zmienić natychmiast sposobu życia, to przynajmniej mamy tę pociechę, że zostali oni oświeceni i że możemy im udzielić Chrztu św. *in articulo mortis.* Bardzo niewielu odmawia nam tej pociechy. Aby módz udzielić tylu lekarstw, dokonać tylu opatrunków, ileż bielizny, ileż środków aptecznych potrzeba nam co roku! Jeżeli dotąd nie odwoływałem się o pomoc do Sodalicyi św. Piotra Klawera, to dla tego, że niektóre zacne dusze, bardzo oddane naszej misyi, przysyłały nam co roku mniej więcej wszystko, czego było potrzeba.

Smierć, niestety, zabrała nam te osoby. Pan Bóg uznał, że nadeszła chwila wynagrodzenia ich za tyle szlachetnej hojności i tyle

poświęcenia! Niech święta Jego wola dzieje się we wszystkiem i zawsze. Teraz zwracam się do Sodalicyi św. Piotra Klawera i do wszystkich Czytelników „Echa z Afryki“, aby przyszli nam z pomocą, byśmy mogli sprostać tak licznym wydatkom. Jałmużny ich pozwolą nam prowadzić dalej nasze dzieło i szerzyć Imię Jezusa Chrystusa.

Mówiąc o wydatkach, ciążących na misyi, mam na myśli naszych chorych i w ich to imieniu przemawiam. Oby Pan nasz raczył nam udzielać zawsze środków zaradzenia dolegliwościom, na które cierpią!

Myślę także o naszej młodzieży i naszych dzieciach. Nie mają prawie nic do okrycia się, a chcemy zwłaszcza, aby wpoić w nich cześć dla świętego miejsca, aby byli ubrani skromnie, ale przyzwoicie. Środki nasze stają się z każdym rokiem coraz bardziej niedostateczne, w miarę jak wzrasta ilość chrześcijan. Podjęliśmy się własnym kosztem przyodziewać ich w dniu chrztu, pierwszej Komunii św. i ślubu: trzeba dla każdego bluzy i pary spodni. Sporządzamy sami tę odzież. Ojciec, któremu zleconą jest ta praca, uszył na swojej malutkiej maszynie na ten rok tylko 78 par spodni i tyleż bluz. Ponieważ liczba chrztów i Komunii św. wzrasta z każdym rokiem, będziemy potrzebowali znacznego zapasu materyału, by uszyć tyle ubrań.

W ciągu pięciu lat, któreśmy spędzili w tych stronach, nauczyliśmy się języka i przetłómaczyliśmy katechizm. Poprzestalibyśmy chętnie, co się nas tyczy, na rękopisach, które każdy przepisuje kolejno, ale katechizm musi służyć zwłaszcza małym murzynkom, których uczymy na nim czytać w ich własnym języku. Celem naszym jest wybrać w każdej wsi najroztropniejszego z naszych katechumenów i nauczyć go czytać, tak, aby mógł przepowiadać codzień katechizm ludziom w swej wsi. Pomódz nam w wydaniu książek potrzebnych, byłoby to oddać nam wielką usługę, nam, tak nielicznym (trzech Ojców na 22 wsi), byłoby to również oddać usługę młodym ludziom, skorym do wykładania po swych wsiach katechizmu wszystkim swoim poczciwym starym. W czasie jednej z bytności moich we Francyi, w czerwcu, przepisałem ten katechizm i gotów jest do druku, ale nie rozporządzam żadną sumą, by opłacić koszta druku, wszakże chciałbym, gdy powrócę na moją misyę, ofiarować moim towarzyszom i moim dzieciom piękny katechizm drukowany.

Odwołuję się w tej intencyi gorąco do hojności Czytelników „Echa z Afryki“, niech raczą nie zapominać o misyi Kissidugu, w głębi francuskiej Gwinei.

Wieści z Prefektury Falls.

Przewielebny O. Prefekt Grison pisze nam z Saint-Gabriel:

Zechciej przyjąć, Czcigodna Pani, najpierw wyrazy mej głębokiej wdzięczności za jałmużnę, doręczoną na rzecz tej misyi W. O. Jeanroy, naszemu prokuratorowi. Oby Boski Mistrz zlał na Cię wszystkie swe błogosławieństwa i oddał Ci stokrotnie wszystko, co czynisz dla Jego pracowników.

W roku zeszłym pisałem do Was daleko stąd, z nad brzegów jeziora Alberta-Edwarda, gdzie byłem zajęty zakładaniem nowego centrum ewangelizacyi i oczekiwałem misyonarzy, którzy mieli przybyć do mnie od Wybrzeża Wschodniego. Powitałem ich w wilię Bożego Narodzenia i natychmiast zainstalowałem na ich nowej misyi. Spędziłem jeszcze kilka dni z nimi, aby im przedstawić ich nowych parafian i zapoznać ich z tamtejszym stanem rzeczy. Potem, 31 grudnia, udałem się w drogę powrotną. Rozpocząłem rok nowy pod namiotem, w stepach. W drodze otrzymałem list, wzywający mnie na dzień 21 lutego do Leopoldville, o 500 mil ang. stamtąd: 21 dni pochodu pieszo, 15 dni żeglugi łodzią, 14 dni na statku parowym — i w dzień oznaczony przybywam na miejsce. Chodziło o to, abyśmy, naczelnicy misyi, porozumieli się wzajemnie w pewnych wspólnych trudnościach, a zarazem zaprowadzili więcej jedności w ewangelizacyi kraju. Powróciłem do Saint-Gabriel po ośmiu miesiącach nieobecności, na obchód święta Wielkanocy.

Opłaciliśmy, jak co roku, dość ciężką daninę zabójczemu klimatowi tych stron. Straciłem jednego po drugim dwóch Ojców w Banalya, a poprzednio jeszcze jedna Siostra Franciszkanka od Najśw. Panny Maryi zmarła w szpitalu w Stanleyville, jako ofiara swego poświęcenia i złośliwej gorączki. Nadto czterech chorych wysłanych zostało z powrotem do Europy dla poprawienia tam nadwątlonego zdrowia. Na szczęście mamy otrzymać znaczny posiłek, który pozwoli nam zapełnić szczerby.

Ochrzciliśmy w 1 roku 1.627 osób. Ewangelizacya kraju postępuje, ale niestety, trudności także spadają nam ze wszystkich czterech stron świata. W Stanleyville, w Basoko i w Avakubi budujemy wielkie kościoły murowane z cegły. Na nieszczęście mamy tylko liście palmowe dla ich pokrycia i kwestya dachów jest i pozostaje naszą zmorą. Ten, ktoby nam dostarczył blach cynkowych, oddałby nam największą możliwą przysługę, gdyż dachy z liści nie opierają się ani jednego roku ulewnym i niemal codziennym deszczom, panującym w tych stronach. Trzeba wciąż na nowo rozpoczynać.

Polecam siebie i całą tę misyę waszym żarliwym modlitwom. Pomyślnego, szczęśliwego i świętego roku w błogosławieństwie Pana naszego!

Z klasztoru Maryi Wspomożycielki w Afryce północnej.

Siostra Agnieszka, Dominikanka, pisze ze swego klasztoru w kolonii kaplandzkiej do generalnej kierowniczki Sodalicyi św. Piotra Klawera co następuje:

Zechciej, Czcigodna Pani, wybaczyć mi łaskawie, że ośmielam się zwracać do Niej z mem pismem. Przedewszystkiem chciałabym powiedzieć, że Pan Bóg uszczęśliwił mnie tą wielką łaską, iż oto od dwudziestu już przeszło lat służę Mu w świętem powołaniu misyonarskiem.

Naszej drogiej Matce Przełożonej ofiarowano niedawno kawał gruntu z warunkiem, aby wzniosła na nim szkołę dla ubogich białych i niezliczonych czarnych, będących jeszcze w mroku ciemności. Ponieważ nasza Przewielebna Matka Przełożona ma już i tak sporo wydatków z powodu zakładania nowych klasztorów i rozszerzania szkół dla białych w celu rozkrzewiania prawdziwej wiary, poleciła mi więc, abym zwróciła się do moich przyjaciół i szlachetnych dobroczyńców z prośbą o pomoc pieniężną dla tej biednej misyi. Inaczej nie byłaby wstanie podjąć się założenia tej ubogiej misyi, ponieważ nie można spodziewać się z niej żadnych dochodów, któreby wystarczyły na utrzymanie przy niej księdza i klasztoru.

Starałam się już od dawnego czasu za pośrednictwem moich braci duchownych przedstawić w mej ojczyźnie potrzeby tej misyi i udało mi się też z pomocą Bożą otrzymać nie jeden łaskawy datek. Ponieważ pochodzę z okolic Salzburga (Tettenhausen przy Waging), to może Czcigodna Pani poznała nawet osobiście moich braci duchownych. Jeden z nich jest Dominikaninem, drugi Benedyktynem. Moi towarzysze młodości wzięli także wielki udział w tem świętem dziele, wspierając je hojnemi ofiarami. Dzięki temu, Przewielebna nasza Matka Przełożona mogła zapoczątkować tę misyę, choć bardzo skromnie. Zbudowano tylko chatki... Jeżeli Boska Opatrzność nie ześle nam jakiej znaczniejszej pomocy, to przez długi jeszcze czas nie będziemy mogły ani myśleć o wzniesieniu dla Najwyższego przyzwoitego przybytku. Serce się ściska z boleści, gdy uklęknąwszy przed tabernakulum widzimy, jak Ten Wielki Bóg w nieskończonem Swem miłosierdziu i miłości raczy przebywać w tak ubogiem sanctuaryum. Z głębi duszy błagamy Go, aby zesłał nam jak najprędzej przyjazne nam serca ku pomocy.

Mamy bardzo pobożnego i żarliwego młodego kapłana, który korzysta z każdej chwili i nie waha się przed żadną ofiarą. Czy w słotę, czy w pogodę, nawiedza on chorych i umierających, naucza ich i chrzci. Odczuwa on to bardzo boleśnie, że mały nasz ubogi kościółek nie może pomieścić nawet białych mieszkańców z okolicy, których zachęca tak gorąco do uczęszczania do kościoła. Ludzie ci mieszkali dotąd tak daleko od kościoła, że tylko bardzo rzadko w ciągu roku mogli spełniać swe obowiązki religijne.

Znajduje się tu około 25 biednych rodzin białych, których dzieci rosną bez nauki i szkoły, ponieważ rodzice nie są w możności opłacić za nich pensyi w instytucie. Niektórzy powyrastali i pożenili się bez żadnego oświecenia w wierze. A przytem istnieje cała niezliczona masa krajowców (Kafrów i różnych innych plemion), pogrążonych jeszcze w głębokiem pogaństwie. Jest nas tu obecnie osiem Sióstr, dwie towarzyszą co dzień księdzu w wycieczkach misyjnych. Rozpoczęłyśmy już także lekcye w szkole, na które biali i Kafrowie uczęszczają bardzo pilnie, słuchając z zachwytem, gdy opowiadamy im o Bogu.

Jeżeli Czcigodna Pani będzie tak dobrą przesłać nam jak wsparcie, proszę to uczynić pod niżej podanym adresem.

Zwróciłam się z wielką ufnością do Pani, ponieważ niejednokrotnie już i z różnych stron sławiono mi Twoją Sodalicyę, do której nikt nigdy nie puka daremnie.

Czy mogę sobie pozwolić na jedną jeszcze uwagę?

Jakkolwiek bardzo ubodzy jesteśmy w sprzęty kościelne i ornaty, to wszakże czuję się przedewszystkiem zmuszoną prosić o pomoc pieniężną. Budowa kościoła leży nam najbardziej na sercu, co Pani łatwo zrozumiesz, gdy ujrzysz na fotografii, jak uboga chatka służy Panu za przybytek. Bądź Pani pewną, że codziennie wraz z naszymi ubogimi błagamy Boga, aby raczył wynagrodzić hojnie naszych szlachetnych dobroczyńców.

Wieści z Kisantu.

W. S. Ignacya od Krzyża, zakonnica Zgrom. Najśw. Panny z Namur, pisze w następujących słowach do Generalnej kierowniczki Sodalicyi św. Piotra Klawera:

Pan Bóg nawiedza nas wielu pociechami w naszej kochanej misyi. Mamy przeszło 500 internistek i 70 eksternistek, i pomimo tak wielkiej liczby, najlepszy duch panuje między naszemi wychowankami. W obecnej chwili 130 z nich przygotowuje się do pierwszej Komunii św., a my musimy codzień błogosławić Pana, patrząc na ich budujące usposobienie i trud, jaki umieją sobie zadać, aby się poprawić.

Misya nasza w Ntemfu liczy już 450 sierotek i Siostry nasze mogą również stwierdzić z radością, jak wielkie postępy czyni pomiędzy nimi wiara. Na nieszczęście choroba snu sroży się wciąż. Pięć naszych Sióstr zwiedza wsie w okolicach Kisantu będąc świadkami spustoszeń, sprowadzanych przez tę straszną chorobę. Jak przykro patrzeć na dotkniętych nią! Biedni ci poganie opuszczeni są przez swych blizkich, obawiających się zarazy, są oni zupełnie odosobnieni. W małej chatce w lesie marliby z głodu, w całej okropności ostatniej nędzy, gdyby misyonarzom nie udało się wyszukać ich i zaopiekować się nimi. To też niema nikogo prawie w okolicy Kisantu, ktoby nie żądał chrztu umierając.

O kwadrans drogi od naszej misyi, WW. Ojcowie założyli szpital dla dziewcząt, okazujących najpierwsze symptomy choroby. Poddane są one tam specyalnej kuracyi, odżywiane tak obficie, jak na to pozwalają nasze środki, jednem słowem czyni się wszystko, co tylko można, dla tych biednych dzieci.

Zadowolone też jesteśmy z wyników; dziewczęta te, mając silną nadzieję wyzdrowienia, są szczęśliwe, pracują z ożywieniem, śpiewają, bawią się... po większej części czują pewne polepszenie... Czy to wyzdrowienie?... Po ludzku mówiąc, nie śmiemy tego powiedzieć. Tajemnicza ta choroba tyle razy już zwodziła. Ale modlimy się i ufamy, że Pan Bóg pozwoli wreszcie odkryć środek skuteczny przeciwko tej straszliwej pladze.

Zechciej, Czcig. Pani, połączyć Twoje modlitwy z naszemi, abyśmy uzyskali tę wielką łaskę dla naszych biednych murzynów.

Zasyłamy wyrazy szczerej wdzięczności wszystkim naszym szlachetnym dobroczyńcom, mogą oni być pewni naszych modlitw.

Szczególne podziękowanie dla matki chrzestnej — Anny, która kilkakrotnie już przesyłała nam w darze sztukę materyi dla swej małej chrześniaczki.

Ośmielamy się, jak zawsze, polecić Waszej życzliwości prośbę o kawałki tkanin na odzież dla naszych dzieci, których utrzymanie stanowi zawsze jedną z wielkich naszych trosk. Pozwalam sobie także wyznać Ci, Pani, iż przyozdabianie kaplicy jest również dla nas wielkiem szczęściem. Przy sposobności więc podziału Waszych jałmużn, śmiem z góry prosić Czcig. Generalną kierowniczkę o kilka kawałków jedwabiu białego dla odnowienia ornatów, o kilka galonów lub skrawków, mogących służyć do ubrania ołtarza, gdyż wszystkie te rzeczy przydałyby się bardzo.

Drobne wiadomości misyjne.

Dnia 12 września wyruszyła **karawana złożona z pięciu Sióstr Miłosierdzia z Gand,** udając się do misyi Hemptinne St. Benoit (św. Benedykta), nad Kaszają Górną, by pomagać tam Ojcom z Scheut. Chodzi o zorganizowanie szkół i warsztatów dla dziewcząt, potrzeba wszystkiego: maszyny do szycia, sprzętów szkolnych, sukienek i bielizny dla przyodziania nieco tych biednych dziewcząt dzikich i t. p. Siostry te Miłosierdzia, których Zgromadzenie zostało założonem w r. 1803 przez czcigodnego kanonika Triest, posiadają obecnie kilka domów w Belgii i Anglii, oraz cztery zakłady w misyach Kongo belgijskiego, gdzie znalazły się one pomiędzy robotnicami pierwszej godziny. Godne są one wielce naszej pomocy w tej chwili krytycznej, gdy nie mają czem opędzić najniezbędniejszych potrzeb.

Choroba snu sroży się dalej — pisze W. Matka Stanisława, Przełożona Sióstr Zgrom. św. Józefa z Cluny w Landanie: „Pomiędzy innymi pogrzebaliśmy kobietę, której ciało pokryte było ranami. W ciągu pięciu miesięcy życie jej było męczeństwem, które znosiła z poddaniem, jako pokutę za grzechy swego przeszłego życia.

Mamy tu jeszcze kilka innych chorych, które, jak same są o tem przekonane, umrą zapewne niebawem. Niektóre z nich mają szczęście przystępować często do Komunii św. Pożywienie i czystość są to jedyne skuteczne środki: używamy wyłącznie, jako lekarstwa, gresyl.“

Wyniki apostolstwa. — Mamy przed oczyma cztery różne tablice misyj i instytucyj apostolskich w Afryce, a są one prawdziwie pocieszające i budujące. Nam, katolikom starej Europy, pozostaje tylko, czytając je, brać przykład z chrześcijan czarnych w tem, co się tyczy uczęszczania do świętych Sakramentów.

W Gabonie Ojcowie Zgrom. Ducha Św. obsługują obecnie 14.939 katolików, zapisanych urzędownie, wraz z 11 kościołami, 11 kaplicami i 57 posterunkami katechistów. Udzielili oni 1.063 osobom Chrztu św. i przypuścili 288 krajowców do I-szej Komunii św.

W Dolnej Nigrycyi tablica z r. 1906—1907 Ojców ze Zgrom Ducha Św. wykazuje: 1.778 katolików,

503 chrzty, 7.289 spowiedzi, 6.181 Komunii św. Mają tam 5 kościołów, 13 szkół-kaplic, 13 posterunków katechistów.

W Madagaskarze środkowym liczba katolików wynosi 165.525; — chrztów dzieci zapisano 11.371, chrztów dorosłych 4.698, spowiedzi do 346.838, Komunii św. 326.116, bierzmowań 1.390.

W Marianhill (Natal) OO. Trapiści zarejestrowali od lipca 1906 do lipca 1907 r.: 1.61^ chrztów, 660 pierwszych Komunii św., 527 bierzmowań.

Misya w Uele OO. Premonstratensów. Oto sprawozdanie, przesłane nam przez X. Prałata Deckersa, o położeniu obecnem tej misyi:

„Znajduje się obecnie w Prefekturze apostolskiej w Uele 27 misyonarzy, z których 10 Ojców, 9 Braci konwersów i 8 Sióstr.

W Imbembo i w okolicach liczą 1.133 chrześcijan. Mieliśmy w tym roku 117 chrztów, 22 śluby chrześcijańskie, 525 Komunii św. wielkanocnych, 35 bierzmowań, 97 osób przyjętych zostało na misyę: 66 dorosłych i 31 dzieci.

W Amadi misyonarze muszą się liczyć z członkami sekty „Nebeli.“ Jest to rodzaj stowarzyszenia tajnego, które wielce przeszkadza krzewieniu się naszej św. wiary. Mimo to wszakże liczono w tym roku 54 chrzty i 66 pierwszych Komunii św.

W Gumbari ukończono budowę nowego kościoła z cegły, mającego 31 metrów długości na 8½ szerokości. Założono cztery nowe fermy-kaplice: w Poko, Suronga, Bambili i Niangara. Liczba ferm-kaplic już założonych wynosi 30 z ogólną cyfrą 1.910 katechumenów.

Dnia 10 stycznia zmarł w Coquilatville W. O. Kroon, w drodze do Uele. Odpłynął był po raz drugi 26 listopada 1906 r. z Anvers.

Pojechali do Belgii dwaj Ojcowie, jeden Brat i dwie Siostry. Wszyscy ci misyonarze powrócą jednak niebawem, przywożąc z sobą nowych ochotników.“

O. Lickens, Franciszkanin, pisze nam z Benghasi 13 marca 1908 r.:

„Otrzymałem wreszcie pozwolenie otworzenia mego domu dla sierot i zamieszkania w nim z mymi biednymi małymi niewolnikami. Dzięki hojności naszych dobroczyńców, zamieszkamy tam 21-go. Po wielu trudnościach i opóźnieniach, wszystko już jest urządzone: osiedlimy się w małym domku, w ogrodzie, o pół godziny drogi od miasta. Wszystkie początki są trudne, wielu rzeczy potrzeba, by urządzić dom. Przychodzę więc błagać pomocy Czytelników „Echa z Afryki“, prosząc ich, aby zechcieli mię wesprzeć, gdyż prawdziwie jestem w potrzebie.“

X Biskup Dupont, Wikaryusz apost. Nyassy, powróciwszy do Chiluhula po siedmiomiesięcznej podróży po lasach, pisze nam:

„Kościół mój katedralny, zbudowany przez niedoświadczonych robotników murzynów, zawalił się w zeszłym roku i wtedy pytałem ze smutkiem, jak podniosę te ruiny? 800 chrześcijan i 2000 pogan, uczęszczających na naukę, nie licząc dziesiątka tysięcy tych, którzy pobierają naukę po wsiach oddalonych — i ani jednego kościoła! Byłem w prawdziwej męce. Twoja szlachetna zapomoga, Czcig. Pani, była dla mnie promieniem nadziei. Bez zwłoki zabraliśmy się do przygotowania potrzebnych materyałów i po Wielkanocy zaczniemy budować.

Opatrzność, która zesłała nam środki konieczne do rozpoczęcia, dostarczy nam i tego także, czego będzie potrzeba, aby doprowadzić budowę do końca.

Kronika Sodalicyi Św. Piotra Klawera.

Rzym. *Dnia 1 czerwca.* — Wizyta W. O. Häfliger'a, ze Zgrom. Benedyktynów, dawnego przełożonego misyi w *Lukuledi,* która została dwa lata temu doszczętnie zniszczoną przez powstańców Afryki wschodnio-niemieckiej. Dzisiaj W. Ojciec jest przełożonym nowej stacyi w *Ndandzie.*

Filia we Wrocławiu. *Dnia 18 maja* o godzinie 8 wieczorem, wygłosił O. Malinowski w wielkiej sali Domu św. Wincentego na zebraniu urządzonem staraniem wrocławskiej filii Sodalicyi św. Piotra Klawera, odczyt o swej działalności misyjnej w Afryce. Po kilku powitalnych słowach profesora Hoffmanna, zabrał głos O. Malinowski i mówił przez dwie godziny. Odczyt ten okraszony wspaniałym humorem, zainteresował w wysokim stopniu słuchaczy. Na zakończenie wspomniał mówca o wielkich zasługach Sodalicyi św. Piotra Klawera względem misyj afrykańskich, dziękował za jej skuteczne poparcie i prosił o dalszą pomoc. P. Hoffmann dziękował ze swej strony W. Ojcu za piękny odczyt i wezwał obecnych, by biorąc udział w rozpoczętej właśnie składce, złożyli w ofierze srebro, złoto, lub klejnoty. Dzięki Bogu, obecni odpowiedzieli hojnie temu wezwaniu i filia wrocławska mogła wręczyć czcigodnemu Ojcu piękną sumkę.

KORZYŚCI DUCHOWNE,

przyznane naszym zelatorom i dobroczyńcom.

Mają Oni udział:

1o w zasługach i modlitwach wszystkich misyonarzy Afryki, wspomaganych przez Sodalicyę św. Piotra Klawera;

2o w modlitwach nawróconych murzynów i we wdzięczności licznych dzieci, ochrzczonych *in articulo mortis;*

3o w pracach i przedsięwzięciach członków Sodalicyi św. Piotra Klawera;

4o w modlitwach odmawianych codzień za nich przez członków Sodalicyi;

5o we Mszy św., odprawianej każdej trzeciej niedzieli miesiąca na ich intencyę i w Komunii św., ofiarowanej za nich w tym dniu przez wszystkich członków Sodalicyi;

6o po śmierci — we Mszy św., odprawianej co trzeci piątek miesiąca za spokój ich duszy i w Komunii św., ofiarowanej tegoż dnia przez członków Sodalicyi na tę samą intencyę;

7o we Mszy św., odprawianej co roku w listopadzie za wszystkich członków: eksternistów, zelatorów i dobroczyńców Sodalicyi.

ODPUSTY ZUPEŁNE,

których we wrześniu dostąpić mogą członkowie i zelatorzy Sodalicyi św. Piotra Klawera:

dnia *9 września* w uroczystość **św. Piotra Klawera**;

dnia *21 września* w dzień św. Mateusza Apostoła;

dnia *24 września* w uroczystość Najśw. Panny od Wykupu Niewolników.

Warunek: Godne przyjęcie św. Sakramentów Pokuty i Ołtarza, nawiedzenie kościoła, modlitwa o rozkrzewienie wiary i na intencyę Ojca św.

ODCINEK.

WEZWANIE BOŻE.

Dramat religijny w 1 akcie.

Przez W. O. Baetemana, misyonarza w Abissynii.

(Ciąg dalszy).

SCENA V.

Marya i Janek.

Janek *(zbliżywszy się po cichu)*. Maryo.

Marya *(bardzo zdziwiona)*. Kto tam?

Janek *(z uśmiechem)*. To ja, twój maleńki braciszek. Ale cóż ty Mu tak mówisz, dobremu Panu Jezusowi?

Marya *(wstając)*. Odmawiam pacierz *(całuje go)*.

Janek. Maryo, oczy masz czerwone, płakałaś? Czy cię co boli?

Marya. Tak, braciszku.

Janek. A co?

Marya *(bierze dziecko na kolana)*. Janku, powiedz mi, czy kochasz bardzo Pana Boga?

Janek. Tak, bardzo, bardzo... i jeszcze więcej.

Marya. I dlaczego tak Go kochasz?

Janek. Bo umarł za nas, bo dał mi mamę tak dobrą i siostrzyczkę tak milutką *(pieści Maryę)*.

Marya. Kochasz mnie więc trochę?

Janek. Tak, dużo trochę.

Marya. Czy kochasz Boga więcej, niż mamę i mnie?

Janek *(po chwili milczenia)*. Ależ tak, bo to On dał mi mamę i ciebie!

Marya. A gdyby żądał od ciebie wielkiej ofiary?

Janek. Co to znaczy ofiara?

Marya. To rzecz, która nas dużo kosztuje i każe nam cierpieć... Ot, widzisz, naprzykład: gdyby Pan Bóg żądał od ciebie, abyś opuścił mamę na zawsze... cobyś uczynił?

Janek. Abym opuścił mamę?...

Marya. Tak.

Janek. A Pan Bóg żąda tego czasem?

Marya. Tak, braciszku — i zażądał tego ode mnie także!... Powiedział mi, że powinnam wszystko opuścić, nawet mamę, aby iść za Nim.

Janek. Pan Bóg chce tego od ciebie?

Marya. Tak, Janku, chce.

Janek. A jakże Pan Bóg ci powiedział, że masz nas porzucić?

Marya. Widzisz, najpierw bardzo mnie ukochał, a potem szepnął mi po cichu do serduszka, że tam w Afryce, jest wielu biednych dzikich, którzy go nie znają, a mają duszę, jak my...

Janek *(przerywając jej)*. Jakto? Ci brzydcy dzicy, ci murzyni, których widuję czasem na obrazkach, mają duszę, jak my?

Marya. Tak, mój mały Janeczku!

Janek. A więc ich dusza także musi być czarną?

Marya *(z uśmiechem)*. Może stać się białą, gdy Bóg zechce. By wybielić ich dusze, trzeba chrztu, aby ich ochrzcić, trzeba misyonarzy. Wiesz, takich, jak Ojciec Jan...

Janek. Tak. To jest taki Ojciec z dużą brodą i krzyżem na piersiach, który jedzie tam daleko, bardzo, bardzo daleko... O! jabym się bał... mama opowiadała, że księdza czasem zabiją, a nawet zjedzą!

Marya. Tak, czasem, ale to bardzo rzadko!

Janek. I oni się nie boją?

Marya. Widzisz, że nie, ponieważ zawsze znajdują się nowi, którzy jadą zastąpić tych, co polegli.

Janek *(zamyślony)*. By odjechać tak daleko, trzeba opuścić swoją mamę, nieprawdaż, Maryo?

Marya. Tak! Trzeba wszystko opuścić! nawet mamę. Ale, mój Janku, nie wiesz może, że są także Siostry misyonarki, zakonnice, które jadą tam daleko, bardzo daleko, by nauczać małe murzyniątka i pielęgnować chorych.

Janek. I ty, Maryo, chcesz także tam pojechać? I ty będziesz zjedzoną przez dzikich... i nie zobaczysz już nigdy mamy, ani Cecylii, ani twego małego Janka, a potem... nie będę mógł pisywać do ciebie, ponieważ u dzikich niema poczty...

Marya *(z uśmiechem)*. Uspokój się, Janku, nie pojadę aż do dzikich... mogę pracować dla nich, nie jadąc tak daleko...

Janek. A więc zostaniesz z nami?

Marya. Nie, mój drogi!

Janek. Gdzież więc pojedziesz?

Marya. Zadługoby było wszystko ci wytłómaczyć. Pojadę tylko do Rzymu, a tam wstąpię do zakonnic, które są jak gdyby »mamami« małych Afrykańczyków.

Janek. A więc naprawdę chcesz odjechać?

Marya. Tak, Janku, odjadę jutro.

Janek. Czy mama wie o tem?

Marya. Właśnie jej to powiedziałam.

Jenek. A ona pozwoliła?

Marya *(poważnie)*. Janku, widziałeś mię przed chwilą klęczącą u stóp mego krzyża, widziałeś, że płakałam... czyż nie domyślisz się, co mama powiedziała?...

Janek. Nie.

Marya. Powiedziała mi, że nie chce, abym jechała!

Janek. Dlaczego ci to powiedziała?

Marya. Ponieważ kocha mię zanadto!
Janek. Ja także kocham cię bardzo i nie chciałbym, abyś odjeżdżała, ale jeżeli Pan Bóg ci to powiedział, cóż robić, musisz nas opuścić!...
Marya. Nieprawdaż, mój drogi?...
Janek. Tak, Maryo! ale *(ciszej)* widzisz... mam tam... coś... *(pokazuje na swe serce).*
Marya. A co tam masz, w twem małem serduszku?
Janek. Maryo, przebacz mi... tak, przebacz twemu małemu braciszkowi!... może zrobiłem ci kiedy przykrość... gdybym wiedział, że masz odjechać, byłbym cię jeszcze więcej kochał... Pocałuj mię, Maryo, i nie płacz więcej!
Marya *(ocierając łzy).* O, mój dobry, kochany braciszku!
Janek. Mama pewno smutna!
Marya. Tak, bardzo, bardzo! i dlatego zapewne powiedziała mi kilka słów bardzo bolesnych.
Janek. Gniewała się na ciebie?
Marya. Biedna matka, tak strasznie cierpi!
Janek. I co ci powiedziała?
Marya. Chcesz wiedzieć?
Janek. O, powiedz mi, siostrzyczko!
Marya. Więc dobrze, odchodząc, powiedziała mi: »Maryo, nie jesteś więcej mojem dzieckiem — ja nie jestem już twoją matką.«
Janek. Powiedziała ci to?
Marya. Niestety!
Janek. Nie chce być więcej twoją mamą?
Marya. To mi powiedziała!
Janek. A więc, ja... ja będę twoją mamą... albo nie... Zmuszę ją, aby cię kochała, chce, czy nie chce...
Marya *(całując go).* Złote serduszko!
Janek *(powstawszy).* Słuchaj, Maryo, przyszła mi myśl: pójdę do mamy, rzucę się do jej nóg... powiem jej, że trzeba koniecznie, aby została twoją mamą i pozwoliła ci jechać, jeżeli Pan Bóg tego chce!... Czy tak, czy to jej powiedzieć?...
Marya. Tak, powiedz jej to wszystko.
Janek *(otwierając drzwi).* Więc, Maryo, przestań płakać!

(C. d. n.).

Zamknięcie redakcyi 15 lipca 1908.

Wydawca: Sodalicya Św. Piotra Kl. Redaktor odpowiedzialny: *Zofia Popielówna.*

W Krakowie. — Czcionkami drukarni „Czasu."